

Bartoszewski, Władysław

[Szanowny Drogi Jubilatcie]

Kronika Zamkowa 1-2/59-60, 10-14

2010

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Szanowny, Drogi Jubilate, Drodzy Państwo!

Zostałem zapowiedziany formalnie rzecz biorąc, słusznie, bo jestem przewodniczącym Rady Powierniczej Zamku Królewskiego w Warszawie, w której skład Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego powołał również Andrzeja Ciechanowieckiego, ale nie w tym charakterze mam zamiar tu dzisiaj występować. Również nie w imieniu rządu, gdyż w imieniu rządu zabrał głos bardzo kompetentnie, pięknie, mądrze i słusznie Pan Minister Merta, reprezentujący Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. A od strony, że tak powiem, „fachowej”, z kompetencją, której nie mam, zabierał głos na wstępie Pan Dyrektor Profesor Andrzej Rottermund, który mówił o bardzo ważnej dziedzinie działalności Andrzeja Ciechanowieckiego jako historyka i mecenasa sztuki, o czym bardzo dużo wie jako dyrektor Zamku Królewskiego i jako przyjaciel Jubilata.

Jutro zostanie wiele przyczynków wypowiedzianych w sesji naukowej, które będą sygnalizowały różne ważne dziedziny badań, a jeden z nich będzie także poświęcony samej biografii Jubilata. Ja więc nie chcę poruszać tych problemów, a tym bardziej antycypować tego, co będzie kompetentnie jutro przedstawiane. Natomiast chcę skupić się w mojej wypowiedzi na sprawach, które w szczególny sposób mnie jako człowieka, Polaka związanego zamyłowaniem z różnymi dziedzinami kultury, choć nie muzealnika i nie historyka sztuki, zajmują. Myślę, że będzie ważne i miłe dla Jubilata, a może i nieobojętne, a raczej interesujące dla części, przynajmniej dla młodszej części słuchaczy to, co mógłbym powiedzieć o zupełnie specyficznym darze opatrności, za jaki uważam w moim przypadku to, że mam szczęście od 66 lat - tak, od 66 lat - znać Andrzeja Ciechanowieckiego w bardzo różnych sytuacjach, w różnych dziedzinach i w różnych sprawach, ale w każdym przypadku jako człowieka zaufania, a później jednego ze szczególnie bliskich przyjaciół. Otóż tak się złożyło, że w okupowanej przez Niemców Warszawie w roku 1943, mając wtedy lat 21 i będąc pracownikiem Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu Polskiego na Kraj, poszedłem na spotkanie inspekcyjne do organizacji społecznej, ponadpartyjnej, a mianowicie Porozumienia Pomocy Więźniom. To Porozumienie Pomocy Więźniom było dziełem prowadzonym zresztą głównie przez panie ze środowiska katolickiego, a jego zadaniem była daleko idąca, nielegalna opieka nad więźniami politycznymi przede wszystkim warszawskich więzień, ale również obozów koncentracyjnych, do których ci więźniowie byli później wywożeni, z Majdankiem i Oświęcimiem łącznie.

Organizacja ta pracowała społecznie przy pomocy materialnej rządu polskiego w Londynie, a ja jako przedstawiciel komórki tego rządu poszedłem na spotkanie do jednego z lokali w południowej części Śródmieścia i tam spotkałem wolontariuszy, wśród nich

nieznanego mi wtedy oczywiście z nazwiska - tak jak i ja nie byłem znany z nazwiska ówczesnym partnerom - Andrzeja Ciechanowieckiego. Był on wtedy czynny jako o dwa lata ode mnie młodszy, aktywny Polak w tym bardzo ważnym dziele pomocy więźniom politycznym. Zaangażowanie na rzecz cierpiących dla sprawy narodowej było bardzo tradycyjne dla kół inteligencji warszawskiej, inteligencji polskiej, w tym inteligencji katolickiej. Miało swoją tradycję XIX-wieczną i miało tę tradycję kontynuowaną również w latach drugiej wojny światowej, w formach pięknych i skutecznych, aż do wybuchu powstania warszawskiego. I na tym małym odcinku, jednym z odcinków zaangażowania Andrzeja Ciechanowieckiego, dane mi było go przelotnie poznać.

W roku 1945 i 1946 zetknąłem się z nim również przelotnie w Warszawie i Krakowie. On podejmował wtedy trudne próby jakiegos włączenia się w prace dla państwa. No, nie dało to takich wyników, jakie były jego zamiarem, i później skoncentrował się głównie na kończeniu swoich studiów w zakresie historii sztuki. Te moje luźne kontakty nie pozwoliły mi na obserwację rozwoju jego działalności w latach akademickich, działalności w tak zwanym Klubie Logofagów w Krakowie, innych dziedzin, o których słyszałem później. Ale sam dość wcześnie, bo już w listopadzie w 1946 r, zostałem pozbawiony wolności i zacząłem skomplikowaną drogę więzienną. I na tej skomplikowanej drodze więziennej doszły do mnie po pewnym czasie, kiedy byłem już w sensie stażu niemłodym więźniem, wiadomości o tym, że aresztowany został także Andrzej Ciechanowiecki. Nie spotkałem go wtedy przez czas dłuższy, bo to nie od nas zależało. Ale spotkałem go w roku 1954, w lecie, kiedy 2 czerwca przybyłem z transportem więźniów politycznych z Mokotowa do więzienia w Rawiczu. Osadzony byłem w Rawiczu jako więzień odsiadujący karę ośmiu lat więzienia za (rzekome) szpiegostwo.

Nie była to obiecująca kwalifikacja i nie ułatwiała życia więźniowi. Ale nie o to chodzi, bo mowa dzisiaj o naszym jubileacie. I oto doszło do mojej wiadomości stosunkowo szybko, że Andrzej Ciechanowiecki pełni funkcję na terenie tamtejszego szpitala więziennego, w którym - nie będąc przecież w żadnej mierze ani lekarzem, ani w ogóle człowiekiem służby zdrowia - znalazł sobie bardzo mądre i społecznie ważne miejsce: mianowicie kogoś w rodzaju generalnego sekretarza, cywilnego organizatora szpitala obok więźniów lekarzy polskich, fachowych, takich jak wtedy doktor Mróz, doktor Spyrka. Pamiętam te nazwiska do dziś. Ale to Andrzej Ciechanowiecki zorganizował tę typową komórkę konspiracyjną, bardzo dobrze nawiązującą do jego doświadczeń wczesnych, prawie chłopięcych, jeszcze z międzyorganizacyjnego Porozumienia Pomocy Więźniom w latach gestapo. W latach SB znalazł on formę takiego działania, aby wykorzystując legalne możliwości, dokonywać nielegalnych korektur, tzn. mniej elegancko: zajął się systematycznym organizowaniem fałszowania dokumentacji medycznej na rzecz przedstawienia więźniów politycznych jako ofiar w takim stanie zdrowia, który zagraża śmiercią przy dalszym pobycie w więzieniu. I najpierw w Rawiczu, później jeszcze we Wronkach tę działalność bardzo intensywnie prowadził w niewielkim gronie więźniów. To się może nawet zanadto rozchodziło, bo już nie jednostki i dziesiątki, ale więcej niż dziesiątki więźniów politycznych z tych fałszerstw korzystały. Ta rzecz przyniosła i mnie wcześniejsze zwolnienie z więzienia jako ciężko dotkniętemu. Byłem oczywiście dotknięty, ale gdyby przeczytać te ówczesne orzeczenia, których ślady w moich aktach się zachowały, no to właściwie byłem ruiną człowieka, która powinna jedynie na noszach być wyniesiona z więzienia, aby spokojnie umrzeć.

Tak źle jednak nie było ani w moim przypadku, ani w przypadku wielu innych inteligentów, więźniów politycznych, którym czynnie pomógł Andrzej Ciechanowiecki. To nie

jest karta jego dziejów, o której powszechnie by wiedziano i pisano. Mówiłem o niej nieraz w nowej Polsce, mówiłem o niej w polskim Londynie. Wiem o tym, że to był jeden z motywów, który skłonił Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie Edwar-da Raczyńskiego do wyróżnienia Andrzeja Ciechanowieckiego Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Polonia Restituta, odznaczeniem bardzo wysokim jak na Londyn emigracyjny. Następnym wyższym był Order Orła Białego już w odrodzonej Polsce.

To nasze więziennie spotkanie spowodowało, że wyszedłszy wcześniej niż sam Andrzej z więzienia, nawiązałem możliwie żywy kontakt z jego niezapomnianą matką, świętej pamięci Panią Matyldą, czyli Tilly - tak była zwana - Ciechanowiecką, wegetującą wtedy w Krakowie. I poprzez ten kontakt szukaliśmy też jakichś dróg wpływu na szybsze - gdyby się dało, na fali następującej odwilży politycznej w bloku wschodnim - uwolnienie Andrzeja. W jakimś stopniu się to udało, trudno orzec w jakim. Opuściwszy więzienie, pełen energii i werwy rzucił się w wiele spraw i zadań. To się wiązało z ogólną odwilżą, to się wiązało z przelotem lat '56-'57, odbudową „Tygodnika Powszechnego”, restytucją środowiska katolickiego, patriotycznego i niepodległościowego w Krakowie - tam zamieszkał. Podejmował różne działania, o których osobno by warto było mówić. W moim doświadczeniu wiązały się one z odbudową naszych kontaktów więziennych, które pogłębiły zaufanie, jakie rozwijało się między nami, a potem i z rolą ojca chrzestnego, jaką spełnił Andrzej Ciechanowiecki w odniesieniu do mojego syna ochrzczonego przez księdza Jana Ziębę w kościele Wizytek w Warszawie w roku 1956 imionami Władysław Teofil - drugie to pseudonim ojca z Armii Krajowej. Noworodek jest dziś na sali, czuje się dobrze i należy oczywiście do grona najbardziej Andrzejowi oddanych i przyjaznych ludzi, właściwie uważa tego ojca chrzestnego za bardzo bliskiego członka rodziny - jak być zresztą powinno.

W roku 1966, po kilku już latach pobytu na Zachodzie, gdzie udało się wyjechać dla celów naukowych, i po decyzji pozostania, po wyjeździe już szczęśliwym, udanym Pani Matyldy Ciechanowieckiej do Londynu, po doktoracie, który w tym czasie zrobił w Tübingen, czyli na sławnym uniwersytecie w Tybindze, w zakresie problematyki kulturalnej polskiej, choć akurat nie z dziedziny muzealnictwa - o dworze muzycznym Michała Kleofasa Ogińskiego - Andrzej Ciechanowiecki był już jako tako ustabilizowany owocnie w Londynie. Tam od razu zajął się problemami dzieł sztuki i zrobił sobie z tego zawód, który zawsze traktował jako posłannictwo. I wtedy, w 1966 r, w wyniku procedur, które w PRL-u były możliwe, na jego zaproszenie wyjechałem do Londynu po raz pierwszy w życiu. Poprzednio już komunikowałem się z nim listownie przy innych możliwościach, między innymi przy wcześniejszym wyjeździe do Ziemi Świętej w 1963 r. Ale te kontakty listowne nie zastępowały osobistych. Osobisty nasz kontakt odbudowany został dzięki jego energii w roku 1966.

Później ten kontakt pogłębiał się z roku na rok, a kiedy zacząłem pracować na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, to Andrzej był jednym z opiekunów, dobroczyńców i ojców stypendialnych niektórych moich wybitniejszych studentów na KUL-u, na wydziale sekcji historii. Równocześnie opiekował się innymi osobami i rodzinami, o czym wiem, ale nie jest tu moją rzeczą mówić o jego działaniach na rzecz przyjaciół warszawskich i krakowskich oraz ich rodzin, wielostronnych działaniach nie w zakresie nauki, tylko w zakresie pomocy społecznej, ludzkiej, Polaka inteligenta z elit dla młodych ludzi z polskich, kulturalnych, katolickich rodzin z Krakowa czy Warszawy.

Dalsze nasze losy zacieśniło znowu życie - wola Boża, bo chyba nie tylko przypadek. I doszło do tego, że obaj doczekaliśmy po okresie mojego kilkuletniego pobytu na profesurze

gościnnej w Niemczech swobody ruchów, którą wykorzystywałem, aby przyjeżdżać z żoną do Londynu, spotkań oczywiście statych w tych latach 80. w Londynie, w latach stanu wojennego w Polsce. A syn mój pod opieką Andrzeja Ciechanowieckiego robił wtedy doktorat w Cambridge, wobec tego były jak najbardziej osobiste powody moich podróży do Anglii, ale te osobiste powody wiązały nas coraz bliżej w dziesiątkach spraw, w których byliśmy podobnego albo identycznego zdania. A gdy chodzi o generalne sprawy suwerenności polskiej kultury, to całkowicie identycznego zdania byliśmy, bez „ale”. To było już po wielkim wkładzie Andrzeja Ciechanowieckiego przy arcybiskupie, potem kardynale Wojtyła, w budowę kościoła w Mistrzejowicach, przy wielu jego innych działaniach. O niektórych wiedziałem, o niektórych nie, ale to wszystko się działo równolegle, to było wiele planów jego niesłuchanie dynamicznego działania

Zbliżając się z konieczności do końca, zacytuje Ciebie, Drogi Jubilate, z Twymi myślami o roli kultury polskiej i o naszym zobowiązaniu dla tej kultury. To są Twoje słowa, Drogi Andrzeju, z 18 października 1989 r, wypowiedziane tutaj, w Warszawie. Już w październiku 1989 r, w pierwszych tygodniach funkcjonowania rządu suwerennej już prawie, choć jeszcze z udziałem wojsk sowieckich na naszym terytorium, Rzeczypospolitej, zabierając głos tu, w Warszawie, w czasie obchodów poświęconych Twojej roli również jako twórcy fundacji, o której tutaj była mowa, powiedziałeś tak:

„Gdy zacząłem zbierać polonika w latach 60. i 70., patrzono na mnie w kraju i na emigracji trochę jak na człowieka, który - parafrazując Słowackiego - ratował róże, gdy płonęły lasy narodu. Krytykowano mnie też za to często. Lasy płoną jeszcze, bo chleba ciągle nie ma dosyć, z tego powodu kultura, nasza przeszłość historyczna i nasze związki z wielkim, wspólnym światem kulturowym Zachodu i Wschodu z konieczności schodzą na plan dalszy, ale Polak nie samym tylko chlebem żył i żyje. Żyje on też, jak wszyscy tu obecni dobrze wiemy, swoją świadomością narodową oraz tradycją, tą wielką, przeszło tysiącletnią, chrześcijańską tradycją, tradycją stuleci, gdy Polska była największym mocarstwem pomiędzy Bałtykiem a Morzem Czarnym, gdy carowie rosyjscy, Hohenzollernowie czy Habsburgowie albo jako pokonani, albo jako lennicy klęczeli przed polskim tronem, tradycją mądrej tolerancji postępowej myśli oraz ekumenicznej, chrześcijańskiej misji kulturalnej. Zmuszano nas jednak, i to przecież często, aby o tej wielkiej tradycji zapomnieć. Historia nasza, historia naszej kultury, jej wydzźwięk tak na Zachodzie, jak i na Wschodzie muszą się stać ponownie niezależne, uczciwe, prawdziwe, wnioskujące też i we własne winy popelnione lub pochodzące z zaniedbania. Wyjdźmy wreszcie z kompleksu naszej zawsze jednostronnej martyrologii, otwórzmy nasze serca i umysły wobec bratnich narodów, szczególnie tych, które składały się na Rzeczpospolitą Trojga Narodów, oraz ku krajom nadbałtyckim, naddunajskim czy żydowskiej diasporze”.

Myślę, że te słowa sprzed lat 20 były proroczym wskazaniem, w dużej mierze zresztą przyjętym przez politykę zagraniczną III Rzeczypospolitej, i głębokim przeświadczeniem człowieka tak bardzo zakorzenionego praktyką i teorią, rodowodem i własnym wyborem w dziejach dawnych, bieżących i przyszłych naszej ojczyzny

I zakończę tu tym zupełnie tragicznym epizodem. W 1995 r. dane mi było we włoskim szpitalu, zwykłym, włoskim szpitalu w Rzymie, pochylić się nad łóżem nieprzytomnego Andrzeja Ciechanowieckiego po ciężkim, przed 14 laty doznanym uszczerbku zdrowia. Pochylałem się nad nim i mówiłem do niego (a gadane mam takie, że oddziałuje nawet na ciężko dotkniętych, i miałem tego sprawdzian): „Daj znać, że rozpoznajesz mnie, że rozpoznajesz Władka Bartoszewskiego. To ja mówię do Ciebie tutaj, w Rzymie,

w szpitalu, daj znać". I mrugnął powiekami. I to mrugnięcie powiekami cierpiącego wtedy człowieka było dla mnie znakiem nadziei, dramatycznym znakiem nadziei, że może pozostanie przy życiu, choć to wcale nie było wtedy w stu procentach pewne. Ani w opiniach lekarzy, ani w nadziejach przyjaciół. Niemniej jednak stało się tak, że znów niezwykłą siłą woli przy ogromnej Bożej pomocy, przy woli Bożej, aby tak było, został nam ocalony i wrócił do kondycji, w której może być wśród nas, rozumieć nas, myśleć z nami, mówić do nas.

A więc za ten dar opatrności wszyscy dzisiaj w jakimś stopniu dziękowaliśmy Bogu w czasie liturgii, ale trzeba stale dziękować, gdy się myśli o Andrzeju Ciechanowieckim, że po tym straszliwym wstrząsie przedłużył mu Bóg tę egzystencję między nami, egzystencję, która jest pełna czynu. Do tych czynów należy również udział w Radzie Powierniczej Zamku Królewskiego, bo to jego bliższa ojczyzna, ale i wszystkie liczne jego dobre uczynki, których nikt z nas nie zna, ale zna Bóg.

Andrzeju, dalej tyle łaski Bożej dla Ciebie w Twoim interesie, Polski i naszym.

prof. Władysław Bartoszewski